KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK - WYCHODZI DWA RAZY W TYGODNIU.

Rok 1 CHOJNICE, dnia 23. XI. 1928. Nr. 1

JÓZEF CHEŁMIŃSKI

TAJEMNICA STAREJ CHATY

POWIEŚĆ SENSACYJNA Z DNI WSPÓŁCZESNYCH

17

Leżał rozciągnięty na ziemi, bez czucia, z przymkniętemi oczyma. Na twarzy jego pojawiła się śmiertelna bladość, a z głębokiej rany na głowie sączyła się cienka, krawa nitka. Zdawało się, że dusza opuściła to bezwładne ciało.

Olbrzym powoli ociążale podniósł się na nogi głośno stękając. Potem począł obmacywać nad wyrężoną rękę i siarczyście klnąć.

— Niech go cholera trzaśne. warczał. O mało co byłby mnie zrobił kaleką. Ale teraz ma za swoje.

Spojrzał na nieprzytomnego przeciwnika z wyrazem wściekłości. Lecz prędko rozpłynął się na jego ustach grymas piekielnego zadowolenia.

— Doskonaleś to zmajstrował rzekł. Popamięta on ten cios przez ruski miesiąc, boć zabić go chyba nie zabiłeś. Odechce się polskiemu ścierwu deptać nam po piętach. No, a teraz trzeba go schować i pójdziesz do szefa z raportem.

Kobieta nie mówiąc ani słowa, pochyliła się i podniosła drzwi umieszczone w podłodze a zasłaniające otwór do ciemnej piwnicy. Następnie przy pomocy olbrzyma potoczyła ciało Suchockiego do otworu i zepchnęła je w czarną czeluść. Ozwał się głuchy stuk. Dedektyw był na kamiennej posadzce jakiejś podziemnej komórki. Kobieta opuściła drzwi zpowrotem.

Człowiek o twarzy buldoga odzyskał już humor i śmiał się pełen satysfakcji.

— Nie dziwisz się, że wszystko poszło tak gładko? Szef będzie zadowolony i gromadka złociszków znowu nam skapnie. Ubieraj się i prędko spiesz. Wiesz gdzie. Dalej, szybko.

Kobieta stanęła przed oknem, odwróciwszy się do olbrzyma plecami i poprawiła włosy. Postać jej wyrażała zadumanie i jakoby niezdecydowanie. Widać było, że po tej młodej, pięknej głowie snują się myśli tętniące wzruszeniem.

Wreszcie obróciła się i przemówiła drżącym głosem:

— Gustaw, coś mnie w tej chwili tknęło. Po co my mieszamy się do tych niebezpiecznych awantur. Co nam ten człowiek złego uczynił? Nic Czemu więc my przykładamy rękę do jego zguby? Czas jeszcze się cofnąć.

Olbrzym w pierwszej chwili oniemiał. Wybałuszył na mówiącą oczy i szeroko rozwarł usta. Po chwili jednak ryknął jak wściekły:

— Berta, czyć ty zwarjowała? Co ci do makówki za bzdurstwa przychodzą? Kobieto, zamknij buzię i pilnuj języka. Możesz nas na nieszczęście narazić. Zaczęliśmy, to musimy dokończyć. A ciebie co ten chłystek obchodzi? Zdechnie czy nie zdechnie, nas to nie boli. Dostajemy za swoją robotę pieniądze i na tem koniec. Zaraz mi się wynoś i załatw, co ci rozkazałem. A przestrzegam cię, odrzuć durne sentymenta, i w drodze nie palnij głupstwa, bo przysięgam, że własnemi rękoma cię zaduszę. Jazda, marsz!

Wziął płaszcz i kapelusz, podał je kobiecie i wypchnął ją za drzwi. Ona poszła krokiem chwiejnym i wnet znalazłszy się na Szerokiej, podążyła w kierunku St. Rynku a stamtąd na Szosę Chełmińską, on zaś usiadł na krześle pod oknem, zakopcił dużą fajkę i nalał sobie pełną szklankę wódki. Podniósłszy ją do ust, mruknął:

— Na pohybel temu psu parszywemu! Łajdak rękę mi wykręcił.

V

Na włos od śmierci.

Suchocki odzyskał przytomność dopiero po kilku godzinach. Otworzywszy oczy zauważył wokoło siebie gęstą ciemność. Nawet najmniejszego konturu nie potrafił dojrzec. Odnosił wrażenie, że na oczach ma nalepione wielkie plastry smoły. Pozatem czuł się cały jakby połamany. Od leżenia na kamiennej posadzce bolały go wszystkie kości. Rana w głowie go piekła w ustach zaś paliła go sucha gorączka.

Próbował dźwignąć się na kolana, co po kilkukrotnych wysiłkach też mu się udało. Wyciągnął ręce przed siebie i zatoczył niemi koło. Trafił niestety w próżnię.

— Gdzie ja się nzajduje, szeptał rozpaczliwie. Co się ze mną stało?

Do duszy wdarł mu się strach. Na razie jeszcze nie przypomniał sobie ostatnich zajść. Zdawało mu się, że śni jakieś przykre majaczenia.

Dopiero coraz bardziej przejmujący chłód go otrzeźwił. Przechodziły go szybkie dreszcze i wstrząsały nim niby wiatr badylkiem. A w mózgu następowała jasność, pąmieć uwolniła się od koszmarnego nacisku. Zaczął się zastanawiać i wkońcu zrozumiał grozę swego położenia.

I z tą świadomością wstąpiła weń energja.

Zmusił się do rozumowania, a ponieważ w czaszce mu huczało, żeby módz myśli lepiej skupić, mówił głośno sam do siebie:

— A to cię psubraty nabrali. Nie ma co, wpadłeś w pułapkę, zastawioną przez ową zgraję, co zamordowała Szymańskiego, co posiada tajemnicę starej chaty pod Tucholą. A co teraz cię czeka? Hm, nic dobrego. Przestrzegli cię i zagrozili śmiercią. Nie usłuchałeś, więc wykonają swoją groźbę. Tak Stefciu, przyszła kreska na Matyska.

Znowu przez chwilę zamilkł, a potem ciągnął swój monolog dalej:

— Źle, bardzo źle. Możesz gardło stracić. Wlazłeś wilkowi w samą paszczę. No, ale wypędzi duszę z pięty, niech wraca ona na właściwe miejsce Póty tepetynka na karku póty nic nie stracone. Zresztą Bóg wie. Może to i lepiej, że tak się stało Dostałem się od razu w szpony wrogów, zatem od razu ich poznam. Dotąd ich szukałem, węszyłem za nimi i nie wiedziałem, gdzie z nimi się spotkać. Czemże się tedy martwić?

Zaprosili cię Stefciu do siebie, będę im za to wdzięczny. Lepiej to stanąć z nieprzyjacielem oko w oko niżeli być odwróconym do niego plecami i zupełnie niespodziewanie otrzymać z tyłu źgnięcie nożem.

Chyba długo mnie tu nie potrzymają. Więc walka prędko się rozpocznie. Tymczasem zbierzmy wszystkie klepki pospołu, aby nie sfiksować. A psiakrew, ale łeb boli, okrop. boli. Trzeba go obandażować.

Mówiąc to, Pchła wydobył z kieszeni chustkę do nosa i owiązał nią sobie ranę na głowie. Sprawiło mu to jaką taką ulgę.

— Weźmy się jeszcze, prawił dedektyw sam do siebie, do spenetrowania tego więzienia. A może nadarzy się okazja ucieczki. Zapałki są? Są! I zapalił zapałkę.

Słaby płomień rozlał się wokoło czerwonemi refleksami. Pchła rozejrzał się dokładnie po komorze. Wypalił jednak kilka zapałek, zanim dokładnie ją zbadał.

Była to niby piwnica, w jakiej przechowuje się węgle. Wąska, podłużna i ogromnie wysoka. Lecz brakowało w niej zupełnie okna. Powietrze dochodziło dwoma maluśkiemi lufcikami. Ściany i podłoga były z polnego kamienia. Panowała w niej też wilgoć.

Sposobu wydostania się z tej czeluści Suchocki nie widział żadnego. Jedynie wejście i wyjście prowadziło przez podłogę górnej izby. Musiała ta piwnica nieraz służyć za więzienie, gdyż w kącie dostrzegł wywiadowca próżny dzbanek i spleśniałe kromki chleba, prócz tego wiązkę zgniłej słomy

— Niczem lochy średniowiecznego zamku, mruknął Pchła z bolesnym humorem. Jak długo też każą mi tu posiedzieć? Ano, wola moich panów, chwilowo siądę i wypocznę.

Zajął miejsce na dużej skrzyni, opartej o ścianę i tak uniknął chociaż zimnego dotyku mokrych głazów. Wyciągnął też paczkę papierosów, jednego zapalił i począł z cicha pogwizdywać.

Wracał mu dobry humor. Rana i potłuczenia aczkolwiek bolesne, jednak nie działały nań osłabiająco. Przeciwnie pobudzały jego zaciętość.

— Poczekajcie psubraty, mruczał. Pogadamy po rusku. Odechce wam się porządnego polskiego dedektywa wten sposób maltretować.

U góry w izbie w ciągu tych kilku godzin właściwie nic się nie zmieniło. Olbrzym wciąż jeszcze pykał swoją fajkę i popijał czystą z ogromnej szklanki. Oczy to zachodziły mu mgłą, to błyszczały niesamowicie. Usta wykrzywiały się od czasu do czasu idjotycznym uśmiechem, a z gardła dobywał się bełkot:

Musi szef zapłacić. I to dobrze. Przecież elegancko się spisałem. Grubą rybkę napędziłem do sieci. Zapłaci, zapłaci. Żeby tylko Berta nie skrewiła. Gdzie ta dziewka się podziała. Tak dawno temu jak poszła i wciąż nie wraca. A może zdradziła? O, to ją zakatrupię, zaduszę.

I wyciągał wielką pięść i groził nią w ciemny kąt pokoju. Ostatecznie oparł się łokciami o róg stołu i usnął.

Może kwandrans trwało jego chrapanie, kiedy uchyliły się drzwi od sieni i do izby weszła Berta. Z odrazą spojrzała na pijaka, zdjęła kapelusz i okrycie i zakrzątnęła się koło pieca.

Niebawem buchnął jasny płomień, w garnkach odezwał się bulgot gotującej się wody i popłynęła od kominka fala zapachu zwiastująca, że kobieta gotuje obiad.

Zaczęło się nareszcie ściemniać. Berta zapaliła lampę i kończyła swą krzątaninę koło strawy. Rozstawiła na stole talerze i je napełniła, poczem trąciwszy śpiącego pijaka zawołała:

— Gustaw, obiad gotowy!

Olbrzym raptownie się porwał:

— Co, co? wrzasnął, Uciekł?

— Pewnoś ogłupiał, odcięła mu. Znowu się upiłeś i klepki ci nie dopisują.

— Ach to ty, odpowiedział.

Ziewnął przeciągle, rozkrzyżował ręce i się zaśmiał:

— Jakaś obraźliwa. Cha, cha. Niczem kocica. Śniło mi się. że Pchła wydostał się z klatki i czmychnął i że szef chciał mnie za to zabić.

Jeżeli tak będziesz pilnował, odrzekła Berta, to nie ulega wątpliwości, że Pchła ci ucieknie. Ma on więcej rozumy, sprytu i odwagi w jednej swojej pięcie niżeli wy wszyscy razem w swoich głowach. A teraz jedz.

— No, no. ptaszku, nie gniewaj się. A co szef powiedział?

—Co miał mówić. Ucieszył się i nakazał abyśmy nigdzie nie wychodzili. Koło północy tu się zjawi i z więźniem pogada. Wstrzymaj się tedy od picia, żebyś był w tym czasie trzeźwy i zdatny do działania.

Gustaw zbył to napomnienie milczeniem. Pochylił się nad talerzem i z zawzięciem począł pałaszować jadło. Berta łykała powoli. Coś jej dolegało. Co moment oglądała się do drzwi, wiodące do piwnicy. Ten jej niepokój podpadł ostatecznie olbrzymowi.

— A z tobą co się dzieje, zapytał.

Kobieta się zarumieniła i spuściła oczy. Po kilku dopiero minutach, gdy Gustaw odłożył widelec, odezwała się:

— Zastanawiam się, czyby temu polskiemu wywiadowcy również nie dać choć talerza zupy. Tyle godzin tam leży na zimnych kamieniach, ranny i osłabiony. Trochę strawy go rozgrzeje i wzmocni.

— A na co mu jedzenie, zarechotał olbrzym. Na co, po co? Za parę godzin tak czy owak zdechnie. Czy sądzisz, że szef kazał tę bestję złapać, aby potem zasadzić go w karmniku i tuczyć.

Lecz Berta ruszona współczuciem, nie dawała za wygraną.

— Gustaw, prosiła. Bądź choć trochę człowiekiem. Właśnie dlatego, że to ostatnie chwile Suchockiego nie należy być tak okrutnym. Róbcie z nim co chcecie. Póty jednak żyje, trzeba o niego dbać. Nie.

— Patrzcie ją, szydził Gustaw. Zachciało się jej być samarytanką. Źle się jednak wybrałaś. On nie zasługuje nawet na tyle litości co pies.

— Widzę, że ciebie nic nie zdoła skruszyć. Byle mieć pieniądze, nażreć się i napić — to reszta dla ciebie fraszka. Wiedz jednak, że szef powiedział, iż mamy dołożyć wszelkich starań, aby Su-

chocki był przy siłach, gdyż czekają go nielada przejścia.

— Jeżeli szef kazał, to poco tyle trajkoczesz? Postaw temu psu miskę pod nos, niech się nachłapie.

Kobieta wstała, napełniła jeden talerz zupą, drugi kartoflami i mięsem, następnie zapaliła świeczkę i po drabinie zeszła do piwnicy.

Suchocki słyszał całą rozmowę, jaką godna parka ze sobą prowadziła i dziwił się, skąd nagle przyszło Bercie za nim się ujmować.

— Musi ona mieć w tem jakiś interes. kombinował. Albo też....

Tu uśmiechnął się, kiwnął głową i strzepnął palcami. A w myślach dopowiedział:

— Albo też w tobie się zakochała. Wszakżem stanął w jej obronie. No, i chyba jej zaimponowałem. Tociem dzielnie z tym szwabem brał się za bary.

Kiedy Berta stanęła na posadzce, Suchocki ani na nią spojrzał. Podwinął nogi pod siebie i pykając kłęby dymu z papierosa, wyśpiewywał półgłosem jakiś szlagier kabaretowy.

— Toć pan całkiem zdrów, a ja przypuszczałam, że zastanę półtrupa, przemówiła kobieta.

— Na to trzeba innej ręki, żeby mi głowę rozbić, a nie takiej małej łapki, odpalił dedektyw z galanterją.

— Jeszcze się pana figle trzymają?

— A czemu nie mają się trzymać?

— Chyba pan zdaje sobie sprawę, co go czeka

— Oczywiście, pójdę sobie do domu, a w godzinę później zamknę was wszystkich we więzieniu.

Było to powiedziane żartobliwie a jednak z niezwvkłą mocą. Kobieta mimowoli zadrżała. Niemal z przestrachem spojrzała na dziwaka, który zdany na prędką śmierć, nie tracił werwy. Robił na niej wrażenie jakiegoś niezwyciężonetytana, kpiącego ze wszelkich nań zamachów i napaści.

Postawiła przed nim jedzenie.

— Niech pan się posili, rzekła.

— A skąd ta o mnie troskliwość, zapytał.

Spłonęła ogniem i pochyliła głowę, poczem znowu powtórzyła:

— Niech pan się posili.

Pchła wziął łyżkę do ręki i zaczął z dobrym apetytem zajadać. Berta mu się przyglądała. Kiedy skończyła rzekła. C. d. n.

Kardynał Wiesemann

FABIOLA.

Korwin napił się znowu na popasie, a rozognionego winem, gniewem i zgryzotami, niecierpliwił leniwy krok pomęczonych koni, i począł je ciąć niemiłosiernie. Tak pobudzone konie usłyszały stąpanie innch koni z tyłu i puściły się naprzód niepowstrzymanym pędem. Numidyjska eskorta pozostała w tyle, a przelęknione bieguny rzuciły się w bok, pędząc nad kanałem i szarpiąc wozem na wszystkie strony niemiłosiernie. Inni dwaj jeźdzcy, słysząc gwałtowny turkot, brzęk podków i krzyk, ścisnęli konie ostrogami i ruszyli na ratunek. Byli już o kilka kroków tylko, gdy usłyszeli trzask i plusk. Koło uderzyło o pień drzewa, wóz się przewrócił, a na pół pijany podróżny wpadł w kanał głową na dół, nogami do góry. W jednej chwili Pankracjusz (on to był bowiem) zsiadł z konia i stanął na brzegu z towarzyszem.

Przy słabem świetle wschodzącego księżyca, i po głosie poznał młodzienic Korwina szarpiącego się w błocie. Brzeg nie był wysoki, lecz gliniasta droga było wilgotna i za każdym razem co próbował wdrapać się, noga mu się ślizgała, i wpadał w większą głębinę.

— Wartoby go tam zostawić, mruknął ostry centurjon.

— Cicho Kwadracie, jak możesz tak mówić! Daj mi uchwycić twojej ręki, rzekł młodzieniec, biorąc rękę towarzysza, a drugą wyciągnął nieprzyjaciela, który osłabiony puszczał ostatni chwast, za który się trzymał, i zapadał się w kanał. Ocalony był w opłakanym stanie; poczęli go też cucić, tak, że zaczął powracać do przytomności, gdy nadjechała jego eskorta. Powierzyli go zatem pieczy tych ludzi, wraz z sakiewką, która wypadła z pasa tonącego, gdy go wyciągnęli. Lecz Pankracjusz odebrał swój nóż, który wypadł był z kieszeni Korwina razem z pieniędzmi, a który on ciągle nosił przy sobie, jako dowód, świadczący przeciw Pankracjuszowi w sprawie zdarcia edyktu.

Gdy się oddalili, a Korwin powrócił zupełnie do przytomności, słudzy powiedzieli mu, że go wyciągnęli z wody, lecz że sakiewka musiała wtedy wypaść. Poczem udali się do karczmy dla naprawiania powozu i pili za pieniądze Korwina, gdy ten spał.(

Poganin i chrześcijanin zemścili się, każdy po swojemu.

ROZDZIAŁ XV.

Prace publiczne.

Jeszcze przed ogłoszeniem edyktu przeciw chrześcijanom, mnóstwo chrześcijańskich więźniów z rozkazu Dyoklecjana pracowało w pocie czoła nad wznieść się mającemi budowlami (Termy). Po ogłoszeniu edyktu, liczba ich i cierpienia wzmogły się ogromnie.

Sam cesarz Dyoklecjan oczekiwany był na otwarcie upragnionego gmachu i liczba pracowników podwojona była dla śpieszniejszego ukończenia. Szeregi mniemanych zbrodniarzy przybywały codziennie z dalekich miejscowości, gdzie byli do roboty w kopalniach, i do najcięższej prac sztuki budowlanej używani. Znosić materjały, piłować i ciosać kamienie i marmur, mieszać wapno, stawiać mury, takie były roboty przeznaczone nieprzyjaciołom bogów, z których wielu wcale nie przywykłych było do ciężkiej ręcznej pracy. Okowy na kostkach, ciężkie łańcuchy dla niedopuszczenia ucieczki, wzmagały ich cierpienia i dozorcy wybierani między najdokuczliwszymi, pilnowali każdego kroku z batem w ręku, zawsze gotowi przydać cierpienia do trudów, czy to dla dogodzenia lekkomyślnemu okrucieństwu na bezbronnych, czyto dla przypodobania się srogim swym panom.

Lecz chrześcijanie rzymscy mieli szczególne staranie o tych świętych wyznawców. Djakoni odwiedzali ich, przekupując strażników, a młodzi ludzie śmiało się pośród nich puszczając rozdawali pożywną strawę lub cieplejszą odzież, i dawali pieniądze dla ułaskawienia strażników i zjednania z ich strony lepszego obchodzenia się z więźniami. Wtedy polecali się także chrześcijanie ich modlitwom i całowali łań[illegible]chy i rany, kóre ci święci wyznawcy nosili [illegible] Chrystusa.

To zebranie ludzi przekonanych o wierne służenie niebieskiemu Panu, było pożyteczne dla innego także celu. Podobnie jak sadzawka, w której wykwintny Lukullus przechowywał spasione minogi na ucztę, jak klatki z rzadkiemi ptakami, jak ogrodzenia, w których tuczone bydło przechowywane było na ofiary lub na ucztę cesarską; jak nory w pobliżu amfiteatru, w których drapieżne zwierzęta utrzymywane były dla wystąpienia w publicznych igrzyskach, tak też właśnie więzienia te były składem, z którego o każdym czasie mogły być dostawione ofiary do krwawych ulubionych ludowych widowisk z okoliczności jakiej bądź uroczystości publicznej, składem żywności dla drapieżnych zwierząt, ile razy podobny im lud, krwi zapragnął.

Taka okoliczność zbliżyła się teraz. Prześladowanie zaczęło się niepomyślnie. Żadna znaczniejsza osoba nie była dotąd schwytaną; niepowodzenia pierwszego dnia nie były dotąd zupełnie wynagrodzone i wyglądano czegoś powszechniejszego i większego. Lud upominał się o igrzyska, a zbliżający się dzień urodzin cesarskich wymagał zadosyćuczynienia temu życzeniu. Dzikie zwierzęta ryczały, jakby upominając się o należącą im pastwę.

Pewnego południa ku końcowi grudnia, Korwin, udał się do łaźni Dyoklecjana w towarzystwie Katulusa, który umiał się poznać na kandydatach do amfiteatru, tak jak kupiec bydło wybiera na jarmarku. Zawołał głównego dozorcę robót publicznych i powiedział: „Przyszedłem z rozkazu cesarza, wybrać pewną liczbę występnych chrześcijan, pod twoją strażą zostających, aby mieli zaszczyt walczyć w amfiteatrze z okoliczności zbliżającej się uroczystości.

— Nie zdołam żadnego oddać obecnie, niezdołałbym bowiem ukończyć roboty, jeźli mi ludzi brakować będzie.

— Ja temu poradzić nie mogę, innych ci dostarczę na miejsce tych, których zabiorę. Musisz nas przeprowadzić naokoło robót, abyśmy wybrali tych, którzy nam się nadadzą.

Dozorca mrucząc na to żądanie, musiał wszakże usłuchać, i zaprowadził ich do dużej areny sklepionej, gdzie wielka liczba ludzi zajęta była ciężką pracą.

Przechodząc się pośród robót, wybrali pewną liczbę niewolników, przy których dozorca upierał się daremnie. W końcu zbliżyli się do pokojów na wschodniej stronie dłuższego ramienia sali. W jednym z nich ujrzeli młodego człowieka odwróconego od nich plecami.

— Kto to być może? — zapytał Korwin; — nie nosi ubioru więźniów ani kajdan?

— Nie wiem jak się nazywa, odrzekł dozorca, lecz jest to piękny młodzieniec, który często przebywa z więźniami, wykupuje ich i nawet czasem pomaga im w pracy. Płaci zresztą grubo, aby mu to wszystko wolno było; więc nie jest naszą rzeczą badać go.

— Lecz jest moją, rzekł Korwin ostro. Głos jego doleciał uszu nieznajomego, który obejrzał się.

— Ujrzawszy go Korwin, skoczył ku niemu ze wściekłością gwałtowną drapieżnego zwierza, i uchwyciwszy zawołał z radością: — Okujcie go natychmiast! tym razem nie uciekniesz mi, Pankracujuszu!

ROZDZIAŁ XVI.
Więzienie.

Pankracjusz i dwudziestu innych, do tego samego łańcucha przykutych, prowadzeni byli, a raczej wleczeni do więzienia przez ulice miasta. Utykających i chwiejących się bili strażnicy niemiłosiernie, a przechodzący trapili ich uderzając i szturchając bezwstydnie. A ci, co szturchać nie mogli, bardziej oddaleni przechodnie, rzucali kamieniami. Doszli nareszcie do więzienia Mamertyńskiego, gdzie ich pchnięto i gdzie zastali już inne ofiary, oczekujące ostatniej chwili.

Modzieniec miał zaledwie czas uprosić jednego z wiążących mu ręce, aby donieśli o tem co się stało matce i Sebastjanowi, przyczem wsunął mu sakiewkę do ręki.

Rzymska sprawiedliwość wymagała zewnętrznych przynajmniej form jakiegoś sądu, i dla tego uwięzieni chrześcijanie bywali z więzień wprowadzanie przed trybunał i tam poddawani badaniu, którego najszacowniejsze zbiory zostały nam zachowane tak, jak je spisał pisarz sądowy.

Pankracjusza i jego towarzyszów zaraz stawiono przed trybunał, ponieważ za trzy dni miały się odbyć igrzyska, w których mieli wyznawcy walczyć z dzikiemi zwierzętami.

— Kto jesteś? zapytał jednego z nich sędzia.

— Jestem chrześcijaninem z łaski Bożej, odpowiedział.

Uczyniwszy podobne pytania wszystkim i odebrawszy od wszystkich podobne odpowiedzi, — prefekt obrócił się ku Pankracemu i w ten sposób go kusił:

— A teraz, ty bezczelny chłopcze, który śmiałeś pomiatać edyktem boskich cesarzów, nawet i dla ciebie jest łaska cesarska, jeżeli uczynisz bogom ofiarę! Pokaż w ten sposób twą pobożność i roztropność, albowiem jesteś dopiero młodzieniaszkiem, a ulitujemy się nad tobą.

Pankracjusz przeżegnał się i odrzekł spokojnie:

— Jestem sługą Chrystusa, jedynego i prawdziwego Boga, a wasi bogowie przeznaczeni są na wieczną zagładę.

— Uderz go w twarz i wysmagaj rózgami za to bluźnierstwo, rzekł sędzia.

— Dziękuję ci, odrzekł młodzienic, że mi dajesz tę samą zniewagę, jaką cierpiał Chrystus.

Następnie prefekt wydał wyrok skazujący Pankracjusza i jego towarzyszy, którzy wszyscy wyznali, iż są chrześcijaninami, na pastwę dzikich zwierząt w amfiteatrze Flawjańskim.

Wnętrze więzienia, do którego ich zamknięto napełniło się odgłosem psalmów śpiewanych społem, spokój i cicha radość panowały w lochu.

Podczas gdy prześladowcy dawali w ten sposób ucztę dla ciał swych ofiar. Kościół, przysposabiał daleko wspanialszą ucztę dla dusz swych dzieci.

Chociaż Komunja święta rozdawana była jedynie przez właściwych kapłanów, wszakże męczennikom w więzieniu lub umierającym wiernym i niższego stopnia duchownym dozwolone było podawać chleb żywota.

W tym dniu, kiedy pogański Rzym rozdrażniony był nadchodzącą rzezią tylu chrześcijańskich ofiar, trzeba było niezwykłej odwagi, aby się podjąć tego obowiązku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Drukiem i nakładem drukarni „Dziennika Pomorskiego"
w Chojnicach.